



Jeśli wybieracie się do Republiki Zielonego Przylądka, nie szukajcie w księgarniach przewodników, w których chcielibyście znaleźć rady, co i kiedy tam zwiedzać, co warto zjeść, gdzie można przenocować. Mimo że ten kraj, znany bardziej jako Wyspy Zielonego Przylądka, jest coraz bardziej popularnym celem wakacyjnych wypraw naszych rodaków, na rynku wydawniczym nie ma ani jednego przewodnika po Cape Verde.

Jesteście zdani na relacje internautów, którzy przed Wami dotarli do tego zakątka świata. Większość Europejczyków odwiedza archipelag w ramach oferty biur podróży. Można dotrzeć tam indywidualnie, ale po pierwsze to kosztuje trochę więcej (nawet koszt wizy dla turysty indywidualnego jest inny niż dla zorganizowanej grupy, poza tym trzeba się o nią starać w najbliższej nam ambasadzie Republiki w Berlinie), a po drugie nic nie stoi na przeszkodzie, by na miejscu rozpocząć zwiedzanie na własną rękę, mając w zanadrzu nocleg i wyżywienie w konkretnym hotelu.

Wiatr wieje tam, gdzie chce...

Po siedmiogodzinnym locie nad Europą i Wyspami Kanaryjskimi, krótko przed północą, lądujemy na jednej z wysp archipelagu Republiki Zielonego Przylądka – Sal. To powulkaniczna, piaszczysta wysepka, będąca mekką turystów spragnionych słońca i miłośników sportów wodnych. Zanim dane nam będzie opuszczenie terenu lotniska im. Amílcaro Cabrala (Jednego

z dwóch lotnisk archipelagu, na których lądują samoloty międzynarodowych linii), kilka godzin spędzamy w kolejce do odprawy. Mieliśmy pecha, razem z nami na wyspie wylądowali Rosjanie i Włosi.



W sumie jakieś 300 osób. Kolejka do jednego z kilku okienek, w których celnicy przystawiają w paszportach pieczętki wizowe, ciągnie się niemiłosiernie. Na dodatek w jednym z okienek skończyły się odpowiednie druczki. Zanim dostarczono nowy plik upłynęło kolejne pół godziny...

Wreszcie mamy za sobą odprawę! Kto powiedział, że podróże z dziećmi są uciążliwe? Jakiś czarnoskóry wojak ochraniający port lotniczy ulitował się nad naszą rodzinną gromadką (2+2) i przepuścił matkę z dzieckiem na rękę wprost pod okienko celnika. A razem z nią ojca i starszą pociechę.

Po wyjściu na ulicę kierujemy się do autokaru i natychmiast osaczają nas młodzieńcy gotowi ponieść bagaże. Jako że bagaży mamy niewiele, sami dajemy sobie radę oszczędzając jedno euro. Euro to podstawowa waluta Wysp, niemal oficjalna, choć w bankach obowiązuje lokalne escudo (w terenie wymieniana z euro w stosunku jeden do stu).

Nocna podróż przez wyspę nie dostarcza zbyt wielu wrażeń, poza jednym – wrażeniem kompletnych ciemności. Jest tak czarno, że dookoła po prostu nic nie widać. Światła autobusu rozświetlają niewielki kawałek drogi przed nami. Fakt, że droga jest prosta i gładka jak stół. Przydałoby się więcej takich w Polsce.



W hotelu zakwaterowanie, spacer z tobołami do bungalowu i po krótkiej toalecie natychmiastowy sen.

Rano budzi nas szum liści palm kokosowych. Kilka z nich rośnie tuż obok naszego domku. Świadomość, że to nie brzozy szumią nam za oknem, od rana wprawia nas w szampański nastrój. Na zewnątrz jeszcze nie ma upału, ale słońce już świeci dość wysoko. Przy okazji przekonujemy się, że wiatr od oceanu nie tylko buszuje między palmami o świcie. Wiatr wieje na Sal niemal bez przerwy. I niemal wszędzie. To znak rozpoznawczy wyspy. Rozumiem już,

dlaczego tak tłumnie ściągają tu pasjonaci kite surfing i innych sportów wodnych, których uprawianie uzależnione jest od siły podmuchu na wodzie.



Santa Maria

Nasz hotel usytuowany jest kilkadziesiąt metrów od plaży u brzegu Atlantyku. Pierwsze kroki kierujemy właśnie tam, ale nasyciwszy się widokiem wysokich, spienionych fal ruszamy w drugą stronę. Szerokim bulwarem spacerujemy do pobliskiej miejscowości Santa Maria. Trzeba wziąć gotówkę z bankomatu i kupić wodę do picia (w Afryce zawsze pijemy tylko butelkowaną wodę).

Santa Maria to małe, nadmorskie miasteczko, którego mieszkańcy utrzymują się głównie z turystyki i rybołówstwa. Wystarczy godzina żeby poznać większość zakamarków miejscowości. Wiemy już także, gdzie jest najważniejszy dla nas punkt. To drewniana budka, w której urzęduje

urocze dziewczę. Jej zadaniem jest łączenie rozmów telefonicznych z zagranicą. Koszty połączeń liczone są komputerowo. I są wyjątkowo niskie (kilkadziesiąt eurocentów za minutę). Korzystanie z roamingu jest znacznie droższe, nie mówiąc o cenie, jaką można zapłacić za telefonowanie do Polski z hotelu (nawet 12 euro za minutę).



Główna ulica pełna jest małych knajpek z lokalnymi specjałami, sklepików i punktów usługowych. Jest też bank i kościół oraz szkoła. Postkolonialna, niewysoka zabudowa prezentuje się wyjątkowo malowniczo. Niestety, stanowi dość duży kontrast z budynkami usytuowanymi przy bocznych uliczkach. Te są obskurne i odrapane. Ten kontrast to standard w całym archipelagu. Wyspiarze w większości nie należą do ludzi bogatych. Jest biedota (o najbiedniejszych capeverdejczykach będzie nieco dalej) i coś na kształt klasy średniej. Prawdziwą elitę stanowią np. lekarze zarabiający ok. 300-400 euro miesięcznie! Standardowy średni zarobek to niespełna 80 euro. Na Sal zarobki są nieco wyższe, branża hotelowa to dochodowy interes.



Domy w Santa Maria pamiętają jeszcze czasy kolonialne, kiedy wyspami władali Portugalczycy. Ich rządy skończyły się w 1975 roku. Wówczas archipeląg odzyskał niepodległość. Tym samym skończyły się dotacje i wpływy z biznesów prowadzonych przez Europejczyków. Do dziś z wysp, w poszukiwaniu lepszego życia, wyemigrowało około 500 tysięcy ludzi. W większości do Brazylii lub Portugalii. Na miejscu zostało jakieś 400 tysięcy capeverdejskich. Przez wszystkie lata niepodległości, mimo szeregu rozmaitych inwestycji, stare domy nie doczekały się remontów, modernizacji. Dziś, nawet w większych miastach spora ich część nie ma nawet bieżącej wody.

